

Nędza prawych autorytetów

10 sierpnia 2020

Pisałem jeszcze niedawno o materii delikatnej, snującej się w obrębie ludzkiej wrażliwości: filozofii, estetyki, filozofii kultury. Iskrzą się w nich myśli o złożoności naszego wartościowania. I kontekstach, w jakich ono przebiega. Także politycznych.

Ale wiem, że to, co przedstawiałem, nie było odbierane tylko jako chłodny opis, lecz także jako oferta norm zachowania. Gdy więc na przykład mówiłem: jak ludzie w różnych czasach traktowali swe ciała, wiedziałem, że słuchacze bezwiednie myślą o własnym do nich stosunku. Kiedy o pięknie czy kiczu – kojarzyli to ze swymi odczuciami i sposobami bycia. A kiedy o złożoności kwestii autorytetów, zwłaszcza po transformacyjnych przemianach, czuli się niekiedy duchowo zagubieni, gdyż myśleli tylko o swych prywatnych idolach, których – jakoby – chciałem ich pozbawić. Itd. itp.

O SZKODLIWOŚCI AUTORYTETÓW

Aby więc ich zmusić do rzeczowego tylko traktowania przedstawianych treści – wprowadzałem ironię i posługiwałem się żartem. Jedno i drugie służyło urabianiu w nich dystansu. Do świata, siebie i do tego, co na swych wykładach im przedstawiałem. Czyniłem tak nawet za cenę uznania (przynajmniej przez niektórych z nich) mojego mówienia za zabawę tylko lub za przejaw cynizmu. Lepsze to było jednak, niż znalezienie się w sytuacji bohatera tej oto anegdoty.

Oto na miejskiej wieży widokowej spotyka się przypadkowo dwóch facetów. „Pięknie wygląda ten krajobraz z góry” – mówi jeden. „Tak” – odpowiada drugi. „Zobaczyłby pan, że jest on jeszcze piękniejszy, gdyby pofruwał pan nad nim” – dodał pierwszy. „Ale przecież człowiek nie może fruwać!” – rzekł nagabnięty. „Jak to nie? Niech pan zobaczy” – powiedział pierwszy i

rozpostarł ramiona. Pomachał nimi. Wzniósł się w powietrze i zatoczył koło. Gdy wrócił bezpiecznie z powrotem – jego towarzysz zapytał: „To ja też tak mógłbym?”. „Tak” – usłyszał. Więc także wszedł na balustradę, zamachał ramionami i spadł głową prosto w dół. „Jak na Anioła Stróża to wyjątkowy ze mnie skurwysyn” – powiedział pierwszy i zszedł zamyślony z wieży.

My wszyscy, którzy zdobyliśmy jakąś pozycję społeczną, prestiż, miejsce w hierarchii akademickiej itp. musimy zawsze pamiętać, że łatwo, zbyt łatwo możemy się znaleźć w sytuacji owego Anioła Stróża.

Jakoś fruwamy w międzyludzkiej przestrzeni. A stało się tak, nie tylko dzięki naszej pracowitości czy talentom, ale też licznym okolicznościom i przypadkom, które wcale nie muszą się przydarzyć innym. Więc nie tylko nikt nie powinien ukazywać się jako wzór dla innych, lecz – gdy naucza – musi zachować maksymalną ostrożność, umiar i – właśnie – dystans.

Broń Boże przed drapowaniem się w koturny autorytetu, ukazującego komukolwiek drogi życia, odczuwania, wartościowania! Niech każdy sam szuka tego wszystkiego na własny rachunek i odpowiedzialność!

Wiem dobrze, co mówię. Przez dziesiątki lat mogłem obserwować, jak zmieniają się zbiorowe nastawienia i mentalności. Jak żarliwi głosiciele jednej ideologicznej wiary z dnia na dzień przechodzili równie żarliwie na wręcz z nią sprzeczną. Jak w każdej sytuacji chcieli nie uczyć, lecz przede wszystkim: podporządkowywać sobie i przewodzić.

Zauważyłem też, że zwykle ci, co jakiś kierunek dla siebie obrali i szli nim konsekwentnie – odstawali od innych. Ponosili klęski. Czasami tylko spotykając się na skrzyżowaniach losowych dróg, z drwiną tych, co zawsze wiedzą, skąd wieje wiatr. Dlatego należy unikać nie tylko autorytetów, ale chęci bycia jednym z nich, sobie jedynie wyznaczając drogę. Inaczej zostanie zamyślenie Anioła Stróża, który

uświadamia sobie własne skurwysyństwo.

Jak to jednak robić?

MOŻLIWE DROGI

Kiedyś, dawno temu, być może skutkiem odrazy do takich Aniołów Stróżów, L. Kołakowski ogłosił esej pt. „Etyka bez kodeksu”. Wykazywał w nim, że wszelkie kodeksy moralne, dotyczące nie tylko życia prywatnego, ale i w zastosowaniu do etycznych kwestii życia społecznego i polityki, nie mają sensu.

Stanowią bowiem sita, przez które zbyt szybko i obficie wycieka woda zbiorowego i jednostkowego życia, plącząc i gmatwając wszelkie wartości i normy. Życie to bowiem składa się z sytuacji moralnie konfliktowych. Nie da się więc rygorystycznie rozstrzygać jego dylematów wedle żądań kodeksowych norm.

Filozof ten dowodził, że każdy kodeks zbyt łatwo może stać się przysłoną hipokryzji i faryzejstwa (wtrącę tu od siebie: a uosabiający go Anioł Stróż – postacią z przytoczonej anegdoty). Nie ma przecież nawet ohydneho działania, powiada, którego nie dałoby się uzasadnić jakimś szczytnym ideałem, moralną zasadą lub mirażami beztroskiego fruwania, także bez skrzydeł.

Postulował więc postawę, w obrębie której decyzje etyczne podejmowane są na podstawie człowieczej intuicji moralnej. Przy świadomości jej ryzyka i w ciągłym poczuciu niepewności. Wierzył bowiem w rangę przeżyć (odczuć) i ujawniających się w nich odpowiednich do kontekstu zasad i wartości.

Kołakowski swój esej pisał jeszcze w Polsce Ludowej lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Miał wtedy głównie na oku dwa kodeksy: etyki socjalistycznej, czyniącej miarą polityki i ludzkiej aktywności moralnej ideały braterstwa, równości i sprawiedliwości, które wyradzały się w swe zaprzeczenia. Miał wszakże na uwadze także judeochrześcijański Dekalog, zbyt

łatwo, jego zdaniem, stający się w historii usprawiedliwieniem i sztandarem sprzecznych interesów i fanatyzmów.

Za każdym z tych kodeksów – jak mógłbym powiedzieć – stał odpowiednio sugestywny Anioł Stróż i namawiał do skoku z wieży...

Autor chciał jednak, by wybory moralne zarówno w życiu jednostkowym, jak i w polityce, były samoistnymi aktami ludzkiej woli. Pragnął też, aby każdemu towarzyszyło brzemie subiektywnej odpowiedzialności i nieustanna troska, wynikająca z ryzyka decyzji. Obu kodeksom tedy mówił „nie”.

Stąd też w innym swym esej: „Kapłan i błazen” przeciwstawiał doktrynerstwo ideologiczne i religijne postaw kapłańskich, roszcujących pretensje do nieomyślności, prawdy i słuszności, zawsze w imię aktualnie panującego układu, postawom błazeńskim: wszystko kwestionującym, lecz nie w imię odmowy uznania wartości, lecz z buntu przeciw zaślepieniu nimi czy bezmyślności w ich urzeczywistnianiu.

Zarówno „Etyka bez kodeksu”, jak i „Kapłan i błazen” stanowiły istotny zaczyn myślowy zwłaszcza dla pokolenia, które w dorosłość i w życie intelektualne wkroczyło pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Oba te eseje zawierały zwięzłą kwintesencję i ocenę tego, co działo się w świecie (i zwłaszcza w Polsce) podczas i po II Wojnie Światowej. Zdawały się stanowić odpowiedź na narosłe dylematy.

Byłem nimi zafascynowany, bo właśnie do tego pokolenia należę.

Rodziły jednak one kolejne pytania i wątpliwości. Przede wszystkim: czy subiektywna odpowiedzialność, która się wspiera tylko na intuicji moralnej nie prowadzi albo do trwania w bez troskim błaznowaniu albo do zasklepienia w rozterkach bez wyjścia? Jedno i drugie bowiem jest w pełni uprawnione w literaturze i sztuce. W życiu natomiast sprawy się komplikują, prowadząc niekiedy do konsekwencji wręcz tragicznych. Cóż więc z tym życiem zrobić? Można oczywiście błaznować lub pogrążyć w

rozmyślaniach, gdy się jest intelektualistą. Co jednak mają czynić inni ludzie?

ANI KAPŁAN ANI BŁAZEN

Do dziś nie mam dobrych odpowiedzi na te pytania. Choć już wtedy przekonał mnie Kołakowski do bezsensowności wszelkich kodeksów i zaszczepił odrazę do ich kapłanów, przybierających się często w szaty Anioła Stróża z opowiedzianej tu anegdoty.

Ale, po latach doświadczeń i wielu przemyśleniach, widzę coraz wyraźniej, że sam ten dylemat: wybierać postawę kapłana czy błazna, jest poniekąd czczą, idealistyczną abstrakcją. Pojawił się on w umyśle filozofa, dla którego poza sferą indywidualnych wyborów nie istnieje nic, co określa akceptację jakiegoś kodeksu, moralnej intuicji czy błaznowania.

Tymczasem jest to tylko ideologiczne złudzenie. Ot weźmy za przykład masowe opowiedzenie się po 1989 r. za kapitalistyczną restauracją w Polsce. Było więc tak, jakby (zwłaszcza!) klasy pracujące, których zachowanie decydowało o transformacji, weszły na ową widokową wieżę. Tam zaś czekał już na nie Anioł Stróż, uosabiany przez Kościół (i zwasalizowaną wobec niego „Solidarność”), namawiając do skoku w otchłań neoliberalnych stosunków.

Pokazał on, że umie nad nią nie tylko fruwać, lecz i w locie obrzydliwie się bogacić. Gdy jednak skaczące za jego przykładem masy martwiały w niepewności losu, bezradności, zatomizowaniu, biedzie, w wykluczeniu itp., nie powiedział nawet, jak ten z anegdoty, że „jak na Anioła Stróża to wyjątkowy ze mnie skurwysyn”. Nie ogarnął go smutek zadumy i wyrzuty sumienia. Nie pomógł powstać im z martwoty, lecz, wraz z błogosławioną przez siebie władzą, kazał uznać to za dar boży i wolność. I nawet pewnie teraz, wraz z rządzącymi, śle ku Stwórcy modły dziękczynne i sakralizuje państwo.

ANIOŁ STRÓŻ KOŁAKOWSKIEGO

Przykład ten dobitnie pokazuje, że wybory moralne ludzi stanowią tylko nieautonomiczne momenty ich praktyk społecznych i ideologicznych. Powiązani ze strukturami ekonomicznymi, religijnymi, związkowymi i politycznymi, stają się funkcją tych struktur. Podążają bezwiednie tam, gdzie one ich ciągną. Pograżeni w codziennym zatroskaniu – chcą tylko przeżyć. I o to się modlą. Przeklinają i wznoszą toasty. Zgryzoty zastępują im myślenie. Zwłaszcza w nadęte świętowanie powstania „Solidarności”.

Zresztą potwierdzeniem pozorności dylematu: kapłan czy błazen, jest sam Kołakowski, którego bielmo antykomunizmu oślepiło i skłoniło do związania się z tym właśnie ideologiczno-politycznym Aniołem Stróżem. Jak bowiem wiadomo, porzucił on dawne intelektualne błazeństwo i wybrał duchowy flirt z Kościołem oraz Dekalog. Więc doktrynerstwo kapłanów.

Może podszeptała mu to jego intuicja moralna?

Nie będzie jednak na to pytanie odpowiedzi, bo na zawsze odszedł. Nie można jednak wykluczyć, że teraz jakiś nowy Anioł Stróż już go namówił do beztroskiego fruwania nad pastwiskami niebieskimi? Może udaje mu się ten lot i się raduje w nieskończoności nieba. Ale, gdy spadnie – nie będzie mi go żał.

Już bardziej bliski zdaje mi się Max Weber, który dowodził, że przy wyborach moralnych (zwłaszcza w polityce) nie wystarczają ani czucie i wiara, ani etyczne rodzyńki Dekalogu. To zbyt mało, by podejmować ważne wyzwania moralne, społeczne czy polityczne. Bez chłodu bowiem rzetelnego poznania form uwikłań i powikłań społecznych, zapewne sycą one duchowo. Nie zabezpieczają jednak przed takim lub innym Aniołem Stróżem.

Bo, jak powiada Weber, „Geniusz czy demon polityki (i jednostkowej moralności – J.K.) żyje z bogiem miłości, także z Bogiem chrześcijańskim w jego kościelnej postaci, w wewnętrznym napięciu, które w każdej chwili może eksplodować

jako konflikt nie do rozstrzygnięcia". Albo – dodajmy – jako (nie tylko) moralna katastrofa.

CO WIĘC CZYNIĆ NALEŻY?

Każdy niech sam sobie odpowie. Jednak niech nie ufa Aniołom Stróżom i wszelkim stróżom „prawdziwych” zasad. Bez nich świat się nie zawali. Choć wyrastają wciąż inne i nowe wątpliwości, jak przed siedmioma już laty krzyże na Krakowskim Przedmieściu pod Pałacem Prezydenckim. Ale nie wystarczy żadna moralna policja ani w polityce ani w życiu prywatnym, aby przestały nas one gryźć.

Autorstwo: Jan Kurowicki

Źródło: Strajk.eu